№ 28. Warszawa, dnia 12-go Lipca 1908-go roku. Rok XLIV

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy-Swiat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Przeszłość czy przyszłość.

Często spotykamy wśród nas ludzi zamyślonych, zapatrzonych w przeszłość, których wzrok ze zdumieniem i niepokojem bada zjawiska chwili obecnej, których słowa zawsze tchną pesymizmem, a serca pozostają zimne dla nowszych haseł, którzy postanowili być wielką negacyą życia. Imię ich: Konserwatyści.

I widzimy jak od nich zwolna odsuwają się liczne rzesze, jak wśród swoich stają się obcymi — jak coraz większe uprzedzenie otaczają ich nieprzebytym murem, jak co chwila żegnają bezpowrotnie jakieś swoje ukochanie, jak wierność ich dla przeszłości pozostaje nieoceniona — i mimowoli w umyśle naszym pozostaje pytanie: dlaczego?

Przecież sprawiedliwość każe przyznać u wielu duże zdolności umysłowe — uczciwość i odwagę w obronie swych przekonań. Te cechy doraźnie znajdujemy u konserwatystów nieraz nawet w wysokim stopniu, obok nich jednakże tkwi niwecząca siłę tamtych — sprzeczność z życiem.

Zasadą postępu jest fakt, że jedna przyczyna wywołuje więcej niż jeden skutek. Wielkie to zdanie Spencera określa jasno, że postęp nie jest tworzony sztucznie przez tę lub ową partyę, ale, że jest on wynikiem życia a raczej samem życiem. Walka więc z postępem jestto walka z życiem. Każdy najdrobniejszy fakt staje się przyczyną całego szeregu innych i tak w przyrodzie jak w społeczeństwie wygląd świata ulega całej przemianie. Postępem więc jest przemiana, bo ona jest właściwą ewolucyą i tej negować nie można, nie będąc w sprzeczności z naturą. Inna rzecz czy przemiana ta uważana jest przez kogoś za dodatnią lub ujemną.

Postęp w społeczeństwie jest absolutną koniecznością życiową ale odbywa się on w sposób dwojaki: za pomocą ewolucyi lub rewolucyi. Wspaniały, normalny rozwój na półwyspie Skandynawskim jest jasnym dowodem czego może dokonać ewolucya tam, gdzie jej nie przeszkadza państwowość. Ponure echa tragedyi francuzkiej — smutne wypadki ostatniej doby, stanowią dostateczne kryteryum dla wywrotowej metody postępu. Oto są pewniki na które mniej więcej zgadzają się stronnictwa więcej umiarkowane, i zestawiając je, jeszcze trudniej odszukać przyczyny wyodrębnienia konserwatystów.

Wszak w teoryi każdy konserwatysta proklamuje się najpierw zdecydowanym stronnikiem ewolucyi, uznaje potrzebę podniesienia kultury, czasem wyraża niezadowolenie z obecnego status quo, i posuwa się niekiedy aż tak daleko że przypuszcza gdzieś w zamglonej przyszłości, na dwa dni przed końcem świata, możliwość głosowania powszechnego. Różnice teoretyczne są więc niewielkie, i nie tłomaczą tego odsunięcia i obojętności które odbierają konserwatystom możność oddziaływania na stosunki obecne, a zamieniają ich w żywy pomnik przeszłości.

Przyczyny szukać należy w pierwszym rzędzie w braku u konserwatystów tego instynktu społecznego który nazywamy współczuciem, rozumiejąc przez to nie litość a odczuwanie prądów i potrzeb społeczeństwa. W rozwoju społecznym zwycięża zawsze potrzeba czasu. Wszelkie teorye muszą ustąpić przed tem, co dla życia i jego rozwoju jest w danej chwili niezbędne. Wpływ więc mogą zachować tylko ci, którzy, idąc razem z prądem, starają się nadać mu właściwy kierunek, którzy odczuwają wszystkie potrzeby danej chwili, a nie zamykają swych sił w bezradnym proteście. Współczucie, ukochanie haseł danej epoki, bez względu na błędy taktyczne lub mylne ich rozumienie przez masy, oto pierwszy warunek zjednoczenia się ze społeczeństwem. Drugim jest patrzenie w przyszłość.

Wiadomą jest rzeczą, że przepaść, dzieląca klasy, z olbrzymiej staje się coraz mniejsza; wiadomą jest rzeczą, że przez długie wieki kosztem klas biednych rozwijała się pomyślność klas uprzywilejowanych, czego naturalnym wynikiem jest konieczność wyrzekania się potrochu tych przywilejów, z których przez długie lata korzystaliśmy.

Oczywiście nie przychodzi to łatwo, a jedynie staje się możliwem przy przejęciu się ideą ogólnego szczęścia i wiarą w lepszą przyszłość, kiedy ludzie, tracąc wrogie instynkta wzajemnie będą sobie podporą. Jeżeli jednakże duszę naszą napoimy pesymistycznym twierdzeniem, że na świecie będzie coraz gorzej — jeżeli myśl nasza, wywołując minione okresy przeszłości, nie stara się odszukać w dobie obecnej lepszych i szlachetniejszych pierwiastków, to przedział między nami a społeczeństwem wzrasta z każdą chwilą bo dążymy w dwóch rozbieżnych kierunkach: przeszłości i przyszłości.

Naturalnie takie przejęcie się dobą ubiegłą niezmiernie utrudnia uznanie zasług, zdolności a co za tem idzie, praw tych klas, które w przeszłości nie odgrywały roli. Dlatego widzimy u konserwatystów charakterystyczny objaw chęci obdarowania ludzkości dobrobytem, oświatą, swobodą, ale pod warunkiem aby oni byli tymi, z których rąk potrzebujący czerpać będzie wszystkie te skarby. Nie mogę się pogodzić z myślą, że podstawy nowego życia muszą być tworzone przez ludzkość całą; że niema racyi aby niewielka garstka kazała milczeć duchowi milionów i że

nie można wierzyć aby zdolności i talenty były tylko tam, gdzie je wyczerpuje wiekowa cywilizacya a nie znajdowały się w dziewiczej duszy ludu.

Klasy przodujące mogą służyć ludowi swoją kulturą i doświadczeniem a przedewszystkiem uznaniem swoich własnych błędów, ale nie wolno im tamować tych prądów indywidualnych, które jak odświeżające potoki przenikają wszystkie warstwy społeczeństwa. Przeciwnie — tu leży zrozumienie wielkiej prawdy że: im opór będzie silniejszy tem siła żywiołowa większa.

Wypada teraz poruszyć główną obawę konserwatystów, mianowicie potrzebę obrony religii i uczuć narodowych przed falą burzącą skrajnego postępu. Tylko działając zgodnie z prądem, można wywrzeć wpływ na opanowanie jego niebezpieczeństw. W czasie potopu zawsze znajdzie się barka, która uniesie to, co ma trwać wiecznie, a wieczną będzie zawsze *Prawda*. Wszak wprowadzenie w życie ideałów religijnych t. j. nauki Chrystusa i ideałów narodowych czyli miłości swego ludu i ziemi, jest najwyższym stopniem ewolucyi i tylko zaślepienie stronnicze może tego nie przyznać. Jednakże, ani religja, ani patryotyzm nie każą nam zamykać się w obrębie jednej sfery i jej interesów. Przez takie postępowanie wyrabia się właśnie przekonanie w ludzie że „kościół jest dla panów", że „narodowość jest przywilejem pańskim", a to szkodzi samej sprawie.

Postęp, w prawdziwem pojęciu tego wyrazu, nie wymaga zaparcia się przeszłości. Życie to ciągłość: od początku świata jedno nieprzerwane pasmo ewolucyi. Miłość luozkości powinna więc sięgać zarówno w czasy minione, jak przyszłe pragnieniem dobra i pobłażliwością dla błędów. Gdyby tego rodzaju uczucie zapanowało przed partyami i wzajemnemi uprzedzeniami, możeby na ciemnym horyzoncie naszego społeczeństwa zajaśniała gwiazda, której imię Sprawiedliwość.

Antonina Gombrowiczowa.

Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

P. Żelwietr poczciwemi oczyma wpatrywał się w Dolę.

— A cóż mama? — spytała go wreszcie szeptem trwożnym.

— Mama, gdym jej to powiedział, spojrzała na mnie tak samo, jak pani w tej chwili... Bardzoście podobne do siebie, i nietylko z twarzy!... A ja myślałem, że się pani za mną wstawi — przyjechałem umyślnie po to... ale widzę, że nie będę miał w pani dziewosłęba... Zunia, zupełnie inna. Stoi po mojej stronie, czasem nawet, gdy mama nie słyszy, nazywa mnie „ojcuniem". Doprawdy nie wiem, czy bardziej kocham od niej rodzone córki. Ma ona swoje wady, porywcza, uparta, ale dusza — co za dusza w tej dziewczynie! Ja pani prawdę powiem: matkę waszą cenię, szanuję — to najszlachetniejsza niedołęga, jaką znam — przepraszam, — nie chciałem pani urazić— ale, gdyby nie Zunia na myśl by mi nie przyszedł... taki zamiar. Przedewszystkiem chcę być ojcem tego dziecka, mieć do niego prawo, módz je wychować. Matka wasza na tem się nie zna. Całe szczęście, że Zunia bardzo nieposłuszna, bo wyszłaby na życiowego mazgaja.

— Co mama panu odpowiedziała? — przerywa Dola, wciąż jedną myślą i trwogą przejęta.

— Powiedziała: *nie* i powtarza to od dwóch tygodni, a, co gorzej, mówi o wyjeździe z Nowotrzeb.

— „Po tem, co zaszło, nie wypada, żebym tu została" — tak mi oświadczyła przed kilku dniami.

A ja jej na to:

— „Pani szanowna, w naszym wieku, niestety, wszystko już wypada. Nie jesteśmy kochankami z Werony, a zresztą, nic nie zaszło. Ja zapomnę o swojej prośbie, a pani o swojej odmowie i wrócimy do dawnej przyjaźni. Przeszliśmy już wiek, w którym z takich rzeczy robi się tragedye".

— Ale mama nie lubi brać życia prosto, łatwo. Po tej naszej rozmowie płakała ciągle a może jeszcze płacze. Zabrałem się i przyjechałem do Warszawy. Znajdę może sojuszniczkę w pani — myślałem. — A tu druga mama, tylko młodsza i jeszcze bardziej egzaltowana. Ot, moje dziewczyny, obu nogami stoją na ziemi. Aż za mocno. Rad jestem, że mama trochę je do wzlotów napędza. Niech tam się pohuśtają w przestworzach. To czasem potrzebne dla rów nowagi... A panią tobym właśnie z huśtawki ściągnął. Za dużo tego bujania. Prawda?

— Na ziemi gorzej, niż w obłokach.

— Wcale nie, tylko trzeba ziemię brać po ziemsku, nie mierzyć jej łokciem z pajęczyny i tęczy — w tem cały sekret. Zunia go odgaduje instynktownie... A pani to już zupełnie do tej redakcyi nie pasuje.

— Jest mi tam dobrze.

— Tak dalece, że nie śmie się tam pani głośno odezwać. A ta koleżanka, to jędza z piekła rodem.

— Niech pan tylko mamie nie mówi, boby się martwiła i radziłaby mnie porzucić to zajęcie.

— Ot, wziąłbym panią do Nowotrzeb i zaprzągł do jakiej praktycznej roboty. By-

Przez mą lornetkę.

(FELJETON TYGODNIOWY).

Saison morte...
Górą letniska...
Mali rolnicy a wielcy obywatele...
Kto odrodzi Polskę...
Premier australski o sufrażystkach...
Dyr. Popławski na tle „miału"...

Seson martwy, sezon słomianych wdowców, nudzących się po letniskach żon, sezon „nowalijek" w menu obiadowych, sezon zabaw filantropijnych pod gołem niebem urządzanych...

Tego roku ma on swoją odrębną fizjonomię. Na tle bruku warszawskiego jest obecnie bez porównania bardziej martwym niż zazwyczaj o tej porze. Na letniskach przepełnienie niebywałe, w zdrojowiskach zaś niewytłomaczone przerzedzenie. Czem wyjaśnić podobny objaw?... Czyżby ludzie byli spragnieni uspokojenia nerwów raczej niż przybytku zdrowia nb. jeżeli te dwie rzeczy wolno wogóle wyodrębniać...

Najprawdziwszym powodem będzie chęć urządzenia się przez lato jaknajtaniej. W zdrojowisku trzeba opłacać lekarza, kąpiele i t. p. Tego wszystkiego unika się na letnisku. Więc też tam dąży człek wszelaki, choć mu to kmiotkowie nasi poczciwi, ci podmiejscy, szalonemi cenami, nakładanemi przez się na takie specyały jak jaja, masło, kurczęta, poziomki i t. d. wszelkiemi siłami wyperswadować usiłują...

A w badach niemieckich?... Jak dotąd pocieszamy się, że tam Polaków obecnie niema. Faktami jednak tego dotąd nikt nie dowiódł. Niepokojącym jest fakt, że prasa niemiecka tak zawsze czujna na punkcie ran kieszeni swoich czytelników, jakoś dotąd ani razu się nie poskarżyła na tych „*Polacken*" za bojkot wód szwabskich. A nuż naprawdę nie znalazła na ten temat powodu?...

Podobno na jesień mają być ogłoszone nazwiska polskie, wyłowione na listach gości znienawidzonych nam „badów". Podobno.. Kto się bowiem tem zajmie i kto to uskuteczni... A należałoby to uczynić koniecznie. Ludzi, którzy jeszcze nie dorośli do wysokości idei naszej samoobrony narodowej przed zachłannością pruską, należy piętnować publicznie i najbezwzględniej. Strach przed tem także wiele zdziałać może. Dla wielu z nas niestety jest to argument może jedyny.

Pouczającą na ten temat jest nasza szlachta. Oto, jak informują wielkie domy handlowo-rolnicze, ogromne zapasy tegorocznego zbioru buraków jeszcze z wiosną zostały sprzedane kontraktowo cukrowniom pruskim. Podobno nawet nie na najponętniejszych warunkach. Tylko prusacy umieli dobrze się zakręcić, uchwycili szczęśliwy moment i interes poszedł jak

łoby zdrowiej i spokojniej... Zunia, oho! Onaby sobie z nimi wszystkimi dała radę!

— Czy ona doprawdy mamy nie słucha? — przerywa Dola.

— Nic a nic.

— Jakże ona to robi?

— Bardzo prosto i miło. Gdy ją mama wdraża w tajniki wielkiego: „nie wypada“, rzuca jej się na szyję: „Wiem, wiem — mówi — sto razy słyszałam, i tysiąc razy jeszcze posłyszę, ale mnie to nic nie obchodzi“. Wycałowuje mamę i robi, co chce— zwykle dobrze i rozsądnie.

— Że się też ona mamy nie boi!

— Ani troszkę. Uważa się nawet za „starszą“.

— „Mama ciągle z tym swojem wiekiem i „doświadczeniem“ — zwierzało mi się kiedyś drogie dziecko — niby to każdy, kto długo żyje, musi być doświadczony“. — Jaka mądra! Co? — zachwycał się p. Żelwietr. A jaka trzeźwa, jak umie kochać ludzi z otwartemi oczyma. — „Są i źli — powiada — wiem, jest ich nawet dużo. A niech sobie będą! I ja nie bardzo dobra, a chcę, żeby mnie kochali. Więc ich kocham takimi, jak są“... I pomyśleć, że to mówi szesnastoletnia dziewczyna! Ale jak zacznę opowiadać o Zuni, to się spóźnimy do teatru. Pani musi jeszcze się ubrać. Przyjadę za pół godziny. To dosyć chyba na toaletę. A niechże i towarzyszka pani będzie gotowa.

P. Żelwietr, ze względu na drogie pani Żalińskiej „nie wypada“ zaprosił do loży pannę Józefę Jabłońską, ciotkę Doli.

XII.

Posterunek w pierwszych rzędach krzeseł Teatru Wielkiego już zajęty. Loże pierwszego piętra świecą jeszcze pustkami. Zanim się zapełnią, lufy lornetek zwrócone ku parterowi.

I tam trafić się może ładna twarzyczka, ba, i ładniejsza może niż na pierwszem piętrze. Uznają to panowie z klubu, wolni od uprzedzeń kastowych na punkcie urody kobiecej. „Wyłączniejsi“ są członkowie zwyczajnych resurs i rozmaici panowie z „miasta“, którzy nie mając tytułu ani dużej fortuny, hołdują obu z zaciekawieniem czcicieli, nie dopuszczonych do praktyk kultu. Dla tych, wdzięki pań, zajmujących miejsca parterowe, są mniej ponętne Cały swój zachwyt trzymają w pogotowiu dla lóż pierwszego piętra.

Oto nareszcie otwiera się pierwsza. Wchodzi osoba niemłoda w skromnej sukni czarnej, z fanszonikiem ocieniającym siwą głowę. Za nią panienka.

Wszystkie lornetki z pierwszych rzędów krzeseł celują w jej stronę.

— Cóż to za aparycya! — zdumiewa się hr. Józio.

— To jakieś „zabrane prowincye“ — decyduje sportsman Korewicki. — No, naturalnie — utwierdza się w tem przekonaniu, na widok wchodzącego za paniami jegomościa. — To Litwin, dość spojrzeć na czaszkę, dluga, zwężona u góry.

— Cóż ty, Maniuś, przeskoczyłeś ze stajni do antropologii — żartuje z niego baron Alfred.

— Kto też to być może? — zastanawia się przeżyty książe.

— Załóżcie się, że zgadnę, choć, słowo honoru, nie znam tej trójcy — wyzywa ich hr. Józio — oto: papa wdowiec ma duże dobra w oszmiańskim powiecie, tamto — duenna lub jaka ciotka — a to, *heriticra*, przywieziona na karnawal. Coprawda, przywykliśmy do brzydszych.

— *Pas mal du tout, du tout, la petite* — przyznaje książe.

— Co za karnacya!

— A jaka obsada głowy!

— Kto chce trzymać zakład? — pyta hr. Józio. — Więcej wam powiem: ona ma na imię Marya, a mówią do niej Marynuszka z akcentem na *ry*. Cóż, zakład stoi?

— Ja trzymam — wyrywa się jeden z z członków jakiejś resursy, gotów zawsze przegrywać do klubowców.

— O kosz kwiatów dla dzisiejszej Carmeny.

— Zgoda.

— Któż sprawdzi?

— Znajdzie się chyba na sali ktoś znajomy. Oszmiański powiat, to nie Rumunia.

— Wiecie, że wcale... wcale tego — mówi po przyjrzeniu się baron Alfred.

W chwili tej w pierwsze rzędy krzeseł wsuwa się Van Niecki.

— Panowie, słyszę, mówią o tem ponsowem zjawisku, — wtrąca.

— No tak, pan przecież, jako publicysta, powinieneś wszystko wiedzieć.

— To też i wiem.

— Zna ją pan? — zapytuje naraz kilka głosów.

— Ale czy naprawdę? — powątpiewa sportsman.

— Lepiej już chyba nie można.

— To tak!?

— Od trzech miesięcy widuję ją codziennie u siebie.

— Zawsze niedyskretny! — szydzi z niego hr. Józio.

— Bynajmniej, panie hrabio, zupełnie legalnie, przyzwoicie.

— *Accouchez — donc!* — nagli go stary książe.

— Panienka jest z Ukrainy, nazywa się Adela Żalińska — piękny ród, podupadły.

— A cóż pan ma z tego upadku?

— Mam szczęście mieć tę panienkę w mojej redakcyi.

— Co? Co? Co? — dziwią się panowie z klubu i z miasta.

— Posyłam po kwiaty dla „Carmeny“ —

---

po maśle. Znawcy fachowi zapewniają, że skutkiem odpływu buraków do Prus tutejsze cukrownie znajdą się w poważnym kłopocie. Czy o to jednak zabolała głowa naszych producentów buraczanych, z których o niejednym kiedyś w nekrologu będziemy z pietyzmem czytali, iż „odznaczał się przez życie całe nieskazitelnością cnót obywatelskich, którym nie sprzeniewierzył się dla zysków materyalnych ani na chwilę“...

Jakże pięknie na tle tak „obywatelskiego wysoce“ czynu jak sprawa sprzedaży owych buraków niemcom wygląda fakt gremialnej wycieczki naszych włościan do Czech i Moraw. Ze sprawozdania ich przewodnika p. Malinowskiego dowiadujemy się, co też ci nasi „mali rolnicy“ a wielcy częstokroć jak Nakonieczny obywatele, widzieli tam u tych naszych pobratymców, którzy wciąż jeszcze dla nas stanowią niedościgniony wzór solidarności i pracowitości.

Więc widzieli wieś chłopską, składającą się z czystych, ładnie murowanych domków, nawet przeważnie jednopiętrowych, wewnątrz oświetlonych elektrycznością, w środku wsi obok kościoła duży gmach szkolny z 3 nauczycielami, wspólny skład mąki, stadninę spółkową, maślarnię współdzielczą i t. d. Widzieli wnętrza mieszkań schludne, estetyczne i trwałe mebelki, wszędzie szafy z książkami, wanny do kąpieli. Dla nas zupełnie jak sen z tysiąca i jednej nocy.

Czy to wprost możliwe?...

W istocie, jeśli się weźmie pod uwagę, że w takim np. Kromierzyżu napotkano szkołę gospodyń wiejskich a w Huticach suszarnię cykoryi, jako głównego produktu danej okolicy, że tam gospodarz na 20 hektarach wykazuje książkami, prowadzonemi z zadziwiającą znajomością rzeczy, obrót roczny 24000 koron a w tem czystego zysku 6.000 koron, że tam jedna krowa racyonalnie hodowana daje 3 i 4 tysiące litrów mleka rocznie...

Tak się wiedzie „drobnym rolnikom“ czeskim i morawskim. Wzór dla nas gotowy i wytknięty. Zdążać nam tyko doń z całych sił. Powstała już u nas sieć kółek rolniczych, powstają czytelnie, następuje coraz to bardziej dające się odczuwać zbawienne zbliżenie się chaty do dworu a to na tle nie tylko płyciutkiej czułostkowości ale i ekonomicznie pojętej łączności interesów. Dowodem z coraz to bardziej większym skutkiem urządzane na prowincyi wystawy rolnicze, jak np. ostatnio w Lipnie, dowodem owocna działalność Koła Ziemianek, które skromnie rozpoczęło a obiecuje nam stworzenie odrębnego przemysłu ludowego. Wszystko to wskazuje, że przeżywamy wielką wiosnę odradzania się naszego ludu. W tym wielkim chórze naprawdę anielskim naszego umacniania się narodowego, brzmią najdonośniej i najpiękniej głosy niewieście. I to napawa otuchą, jak owo powiedzenie Polek-gospodyń: mężczyźni Polskę zmarnowali, my niewiasty ją odrodzimy...

To brzmi nieco afektacyjnie ale nie nieprawdopodobnie, zwłaszcza, gdy akcyę tego odrodzenia narodu przeniesiono do „tych pól malowanych, wyzłacanych pszenicą, wysrebrzanych żytem“, gdy rozpoczęło się ziszczanie

mówi hrabia Józio do członka jakiejś tam resursy.

Uwagę odwraca w tej chwili wejście baronowej Derp z mężem i córkami. Ponsowa panienka wita ich radośnie.

— Bo to, jak mówiłem, wielka krew, koligacye — objaśnia Van Niecki, uszczęśliwiony, że on jeden może udzielić tych objaśnień.

Kres jego zapędom kładzie hasło do podniesienia kurtyny.

. . . .

Ze sceny powiał na Dolę czar muzyki namiętnej, rozgrzał krew, obudził wspomnienia, żale...

„Miłości nie ufaj ani wierz“.

... Gdy gardzisz, kocha cię nad życie...

Oj! prawda! Ona ufała i nie umiała gardzić. Dlatego jej nie kochał...

„Uleciał niby strzały grot“.

Czy nadleci inny? Czy ona utrzymać go zdoła?

„Chcesz mego serca — ono czeka“.

Zasłuchana w te słowa, nic po za niemi nie słyszy.

Cichy szelest. Otworzyły się drzwi loży. Wszedł mężczyzna, szczupły, bardzo wysoki, uścisnął w milczeniu rękę p. Żelwietra i usiadł za Dolą.

„Chcesz mego serca—ono czeka“...

Tak, czeka, ale nikt go niechce. I w tej pełnej sali niema nikogo, ktoby o niej myślał.

Zapada kurtyna.

— Panie pozwolą sobie przedstawić: mój bratanek, d-r Żelwietr — prezentuje nowoprzybyłego stary Litwin.

Dola nie zaraz odwrócić się może — wpierw łzy rzęsami zagarnia. Wreszcie oczy podnosi — wyżej, coraz wyżej, bardzo wysoko.

Z twarzy, okolonej jasnym zarostem, bije moc, krzepkość. Popatrzał prosto, badawczo w siwe oczy, rozemglone łzami.

P. Żelwietr prowadzi bratanka do sąsiedniej loży. Baronowa jest dla niego bardzo uprzejma, stara się sobie przypomnieć, co o nim słyszała: Ach! prawda! Ma tam gdzieś na Litwie duże dobra, zaszargane przez ojca. Został doktorem — jakaś tam specyalność — tak, choroby gardła — zbiera pieniądze, oczyszcza majątek — społecznik — filantrop... I owszem! Można go na raut zaprosić... Toć i książe Teodor bawarski jest doktorem-okulistą.

W loży baronowej podczas pierwszego antraktu, na tle jasnych toalet fraki klubowców wytwarzają czarną plamę. Amelka uszczęśliwiona, choć bystre jej oko dostrzega, że wielu panów, z głowami przedzielonemi pośrodku lub na boku, patrzy ciekawie na Dolę, siedzącą po drugiej stronie poręczy.

— Pani zna tę młodą osobę? — pyta się baronowę jeden z przedziałków głosem przyciszonym.

- Tak, to siostrzenica mojego męża.

— Bardzo interesująca — orzeka przedziałek.

— Wszak da się widzieć w karnawale?— informuje się drugi przedziałek.

— Moja kuzynka nie przyjechała tu dla zabawy, lecz dla robienia korekty — wsuwa swe żądełko Amelcia.

— O! przepraszam! muszę sprostować — wtrąca Van Niecki, który skorzystał ze sposobności, aby „przypomnieć się“ baronowej — panna Adela nie jest korektorką, lecz literatką.

— Na to ci zeszło, biedna Dudy — odzywa się po za jej plecami wuj Zdzisław.

— A! wujaszek!

Dola ucieszyła się szczerze.

— Dawnośmy się nie widzieli! Bardzo dawno!

— Z sześć lat chyba — rzuca złośliwie przez poręcz Amelka.

— Tak, ty już wtenczas nosiłaś długie suknie — odcina jej hr. Zdzisław.

— Co za ramiona! Pierwszy raz je widzę! — stary lowelas mówi to szeptem, nachylając się nad Dolą; rozdętemi nozdrzami wciąga zapach jej biało-różowego ciała.

Dola jest zawstydzona, i tem, że on jej to mówi i tem, że to słyszy siedzący opodal d-r Żelwietr.

— Więc zrobiłaś się emancypantką! Nigdybym się tego po tobie nie spodziewał!— ciągnie wuj dalej. — Od trzech dni dopiero wróciłem z zagranicy, nikogom jeszcze nie widział — pierwszą ciebie — *quelle chance*! A odwróć-że się od tych chłystków z loży wujenki — zjadają ciebie oczyma po kawałku — zostawią mi zaledwie pantofelki— dodaje ciszej.

— Dawno nie miałem szczęścia oglądać p. hrabiego – mówi wchodząc do loży p. Żelwietra Van Niecki.

— A właśnie mówię mojej siostrzenicy, że ją w „Brzasku“ odwiedzę.

Redaktora ogarnia wprost rozczulenie. „Panienka“ jest siostrzenicą całego *high-life'u*. A to miła siurpryza!

Kończy się już antrakt. Przedzielone głowy dążą z powrotem do krzeseł. I wuj Zdzisław odchodzi.

Dola przypatruje się sali.

Wtem, z pierwszych rzędów wstaje siwy, krępy jegomość o twarzy rozumnej, lecz ponurej, i składa jej ukłon.

— Pani zna doktora Derkacza? — słyszy za sobą głos obcy.

Po raz pierwszy odezwał się do niej d-r Żelwietr.

— Znam. Jestem jego pacyentką — odpowiada, zwracając się ku niemu.

— Pacyentką? Jakim sposobem? Kto panią zaprowadził?

— Nikt. Poszłam sama.

— Sama?

---

się cudu, o którym marzył wieszcz, iż „z szlachtą polską — polski lud“...

Równocześnie w ojczyźnie Szekspira kobiety coraz to zacięciej szturmują o równouprawnienie wyborcze do parlamentu. Nauczyliśmy się krótko nazywać je sufrażystkami od łacińskiego słowa *suffragium*. Prasa całego świata donosi o poszczególnych epizodach tych zapasów z niezwykłą ironią. Trudno zaprzeczyć, że sufrażystki angielskie w środkach nie przebierają i niejednokrotnie w objawach walki poświęciły swą powagę i godność przynajmniej tę w codziennem znaczeniu. Ale to nie wyklucza, że cel ich przewodni jest wspaniały a tem samem ani trochę nie śmieszny.

Przekonywał o tem Anglików premier ministrów Australii, bawiący niedawno w Londynie. Zdaniem jego w Australii, gdzie kobiety już zdobyły to, o co walczą nad Tamizą, t. j. czynne prawo wyborcze, „atmosfera wyborów oczyściła się już moralnie do tego stopnia, że tylko mężczyźni o nieposzlakowanej opinii osobistej mogą się tam ubiegać o wybór“. Kwestye wszelkie z zakresu socyalnych i wychowawczych są tam obecnie traktowane z daleko większą starannością aniżeli dawniej. „Przypisuję to — zapewnia bardzo poważnie wspomniany mąż stanu, — rozumnemu a radzącemu się serca wpływowi kobiet, ztąd też ich obecność ewentualna w parlamencie nie przeraża mnie bynajmniej“.

Czy zdoła się przekonać na ten temat premier angielski Asquit, któremu sufrażystki, o zgrozo, zaczynają już grozić... bombami. Należy o tem wątpić równie niezachwianie jak i w to, ażeby zarząd kolejki wilanowskiej wzruszył się choć cokolwiek „protestem“, jaki otrzymał w tych dniach z podpisami tysiącznemi publiczności, posługującej się tą nieszczęsną kolejką. Chodzi o usunięcie plagi dymu gryzącego, w którego kłębach olbrzymich kolejka wędzi płuca tych, co się jej ufnie powierzają. Czy ta plaga jest naprawdę tak trudna do usunięcia?... Bynajmniej. Wystarczyłoby zmienić system kominów u parowozików kolejki (czytaj „samowarki“) i przywrócić dawny system opalania kotłów węglem lub koksem a nie jak się to od dwóch lat praktykuje „miałem węglowym“. Wierzymy że dyr. Popławski zakupuje ów. „miał“ za psie pieniądze ale za to pieniądze, jakie się opłaca za bilet przejazdu jego kolejką bynajmniej znów tak „psiemi“ nie są. Przejazd do Konstancina III klasą kosztuje 40 kop., kolejka Grójecka za tę samą przestrzeń bierze tylko 25 kop. Cała złotówka różnicy. Chyba wystarczy na porządne paliwo. A może p. Popławski każe nam czekać z tą reformą do czasu przemiany kolejki wilanowskiej na elektryczną, jak to z amfazą nic nie kosztującą zapewniają czytelników swych pisma codzienne?...

W takim wypadku byłby z p. Popławskiego istotnie figlarz nielada...

Maryan M. Winiarski.

— Tak. Nie miałam z kim.

— A czemu do niego?

— Wpadło mi w oczy ogłoszenie, że „d-r Derkacz powrócił i przyjmuje“.

— Pani była chora?

— Tak.

— Mój drogi, toć to nie gabinet lekarski — upomina go stryj wesoło.

— Przepraszam! Brzydki nałóg. Już nie będę.

Słowa są żartobliwe, oczy badawcze.

Ściemnia się na sali. I znowu Dola siedzi odgrodzona od tłumu — pragnieniem szczęścia, żalem i jakimś dziwnym niepokojem.

W swoim głodzie miłości doszła do tego, iż spotykanych mężczyzn pyta w myśli: „pokochasz mnie — nie pokochasz?“.

I teraz marzy.

Wśród tej sali jest może ktoś, kto ją pokocha, jak don Jose Carmenę — lepiej, tkliwiej, choć niemniej gorąco.

Znowu antrakt przerywa miłosne zabiegi na scenie i przepełnia frakami loże.

Baron Derp przedstawia ich kilka Doli.

— Pani dawno w Warszawie?

— Od czterech miesięcy.

— Że też nie miałem szczęścia pani spotkać, bodaj na ulicy!

— Wszak ujrzymy panią na balu szpitalikowym?

Na kilka podobnych pytań i zdziwień Dola odpowiada swobodnie, wesoło. Ona, która dotychczas nie śmie się odezwać głośno w „Brzasku“, a gdy ma przechodzić przez salę redakcyjną, strach ją ogarnia, teraz, czując na sobie tyle oczów, nie jest wcale zmieszaną, banalność słów zacierają spojrzenia, pełne zachwytu.

Upojona tą atmosferą, nabiera blasku, promienieje, jak drogi kamień, gdy światło roziskrzy jego wodę. Ten zachwyt, spętany w słowa błahe, mówi jej, że jest jeszcze ładną, powabną, że do staropanieństwa jeszcze daleko, wbrew temu, co dowodzi Amelka.

Odleciały smutne myśli, i nie wracają nawet gdy sala ściemnia się, raz i drugi. Żal zdradzonego Don Jose'a ani tragiczny koniec zdradliwej Carmeny nie budzą oddźwięku w sercu, rozkołysanem nadzieją nowego, milszego życia.

Po raz czwarty zapada kurtyna. Robi się szmer. Wszyscy wstają, dążą ku wyjściom. Na korytarzu stoi młody oficer i przygląda się osobom wychodzącym. Spostrzega Dolę. Składa jej ukłon wojskowy... Gdzie ona tę twarz widziała?

— Pozwoli pani przypomnieć — mówi i podbiega do niej.

Tłum ich rozdziela.

— Zkądże pani zna oficerów dragońskich? — pyta starszy p. Żelwietr, podając jej rękę i sprowadzając ze schodów.

— Poznałam tego pana w wagonie.

— Dawno?

— Bardzo dawno, pięć lat temu.

— Macie oboje dobrą pamięć.

D-r Żelwietr wsadza pannę Jabłońską do dorożki.

Z pod falbany ponsowego kapturka Dola mówi mu oczyma: „dowidzenia“, a oczy jego pytają badawczo, smutno:

— Ładna-ś, bo ładna, ale jakaś ty?

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z V-ej seryi.

Na księżyca patrząc róg...

Na księżyca patrząc róg
I na gwiezdne korowody,
Śnię o dniach, kiedym był młody
Z duszą lśniącą od pogody,
Kiedym kochać jeszcze mógł.

Kiedy wszystko jeszcze w krąg
Dla mnie wiosną się kwieciło,
Kiedy serce moje biło
Jasnowidzeń złotych siłą,
Czarem słodkich, cichych mąk.

Kiedy cały, cały świat,
Jak daleko sięgłem okiem,
Był mi słońcem, a nie mrokiem,
Pieśnią, tęczą i obłokiem,
Bielą śnieżnych szat.

Kiedym w jasny wierzył cud,
Co nam rozlśni dusz wierzeje,
Kiedym jeszcze miał nadzieję,
Że nam życia nie rozwieje
Wszystkich marzeń, wszystkich złud!

Gdy mą pierś przepalał szał,
Żar poświęceń i ofiary,
Gdym dla ludzkiej ciżby szarej
Jeno litość czuł bez miary,
A nie uśmiech wzgardy miał!

Zygmunt Różycki.

(Z EMERSONA).

Szekspir czyli poeta.

(Dokończenie).

Krótko mówiąc, jest on ważnym dowodem na poparcie twierdzenia, że czy poeta daje więcej lub mniej utworów, więcej albo mniej obrazów, jest rzeczą obojętną. Szekspir potrafił stworzyć obraz. Daguerre nauczył się odbijać najpierw jeden kwiat na tabliczce jodyny, a potem mógł już wedle upodobania odtworzyć miliony. Przedmiotów nigdy nie brakło na świecie, tylko nie było tłomacza. Wreszcie przyszedł, i to mistrz nad mistrze! Niech mu teraz służy za model cały ten świat ludny. Nie ma na to przepisu jak stworzyć Szekspira, ale ludzie przekonali się, że jest możliwe, by cały świat rzeczy wyrazić w pieśni.

Jego talent liryczny występuje w najdrobniejszych utworach. Chociaż sonety tracą na porównaniu z świetnością dramatów, są jednak niedoścignione i nie jest to zasługą poszczególnych wierszy, lecz całości. Są one jak dźwięk głosu ludzi niezwykłych, są mową poetyckich istot, i trzeba je czytać w całości.

Poszczególne ustępy i wiersze w dramatach są tak piękne że kuszą ucho, aby nad niemi stanęło i poiło się ich dźwiękiem a równocześnie każde zdanie jest tak bogate w znaczenie, tak ściśle powiązane z poprzedniemi i następnemi, że zadawalnia zupełnie umysł logika. Jego środki artystyczne są równie podziwienia godne; każdy podrzędny pomysł, za pomocą którego łączy zda się nieprzejednane przeciwieństwa, staje się również poematem. Nie potrzebuje nigdy zejść z konia i iść pieszo, dlatego że mu rumaki wyobraźni poniesieniem grożą, jeno zawsze cugle dzierży w ręku.

Najpiękniejsza poezya była z początku doświadczeniem, ale myśl od tego czasu uległa przeobrażeniu... Wykształceni ludzie dochodzą często do pewnej wprawy w pisaniu wierszy lecz łatwo jest wyczytać pomiędzy wierszami ich osobiste dzieje, i ktoś blizki potrafi nawet każdą postać nazwać po imieniu, to jest Andrzej a to Rachela. Treść pozostaje dlatego prozaiczną. Poemat jest tylko gąsiennicą ze skrzydłami, a nie motylem. W duszy prawdziwego poety staje się rzeczywistość zupełnie nowym żywiołem myśli i odrzuca wszystko co zewnętrzne. Tę wielkoduszność znajdujemy u Szekspira. Prawda i doskonałość jego obrazów wskazuje, że sztukę czerpał z własnego serca. Nie ma tam cienia egotyzmu.

Jeszcze jedno znamię królewskie jest w wielkim poecie. Myślę o właściwej mu wesołości bez której żaden człowiek nie może być poetą — bo piękno jest jego celem. Kocha on cnotę, lecz nie z obowiązku tylko dla jej wdzięku, cieszy się światem, mężczyzną, kobietą, bo wdzięk i jasność od nich promienieje. Rzuca w świat pełnemi garściami piękno,

radość i wesele. Epikur powiada, że poezya taki urok wywiera, że kochanek mógłby dla niej opuścić kochankę. A prawdziwi poeci odznaczają się zawsze spokojnem i swobodnem usposobieniem. Homer stoi cały w blaskach słonecznych, Chancer wyniosły jest i radosny, a Saadi powiada: „Mówiono o mnie że pokutuję, lecz cóż ja mam z pokutą wspólnego?". Jeszcze wspanialszą i radośniejszą jest mowa Szekspira. Jego imię budzi w oczach ludzkich wesele i uczucie wolności. Gdyby się ludzkim duszom ukazał, którażby z nim nie poszła? Wszystko, czego się dotknie, czerpie z jego słów uroczystych i radosnych zdrowie i siłę życia.

A teraz zobaczmy, jak wypadnie rachunek człowieka u tego wieszcza i dobrodzieja ludzkości gdy w samotności zamknąwszy oczy na blask jego sławy, wagę ujmiemy w ręce? Samotność jest surową mistrzynią. Ona uczy nas, że bohaterzy i poeci mogą się stać niepotrzebni. Przed tym trybunałem maleje nawet Szekspir, bo i on dzieli połowiczność i niedoskonałość rodzaju ludzkiego.

Szekspir, Homer, Dante, Chancer poznali blask myśli, która się wznosi ponad widomym światem, wiedzieli, że drzewo istnieje nie tylko dla jabłek a zboże nie tylko dla mąki, a kula ziemska nie tylko dla dróg i uprawy roli, że te rzeczy niosą duszy ludzkiej drogie i piękniejsze żniwo, bo są symbolami swoich idei i są w swym przyrodzonym rozwoju milczącem niejako tłomaczeniem życia ludzkiego. Szekspir używał ich jako barw do tworzenia swoich obrazów. Stanął przy ich piękności i nigdy się o krok dalej nie posunął. Nie uczynił tego, co zdawałoby się koniecznością jego geniuszu, nie starał się odgadnąć siły moralnej, która w tych symbolach żyje i im mocy udziela, nie pytał: co to jest właściwie, co one mówią? Żywioły czekały na jego skinienie, lecz on po to tylko ujął je w rękę, aby ludzi bawić. Był wielkim mistrzem i kierownikiem rozrywek świata. Czy to nie tak samo, jakby komu, mocą potężnych sił wiedzy, oddano w rękę komety, planety i ich księżyce, a on je z orbit wyciągnął i kazał im świecić podczas wieczornych zabaw razem z miejskiemi fajerwerkami i ogłosił we wszystkich miastach: „Dziś wieczorem wielkie ognie bengalskie!". Czy siły natury i zdolność ich pojmowania nie są więcej warte niż uliczna serenada, lub dym cygara? Przypominają mi się znowu grzmiące słowa Koranu. „Niebiosa i ziemię i wszystko co jest pomiędzy niemi, żali myślicie na próżno uczyniliśmy?" Gdy chodzi o talent i siłę ducha, niebyło na świecie równego Szekspirowi. Lecz gdy chodzi o życie, jego istotę i jego zasoby, na cóż mi się on przyda? Co on dla mnie znaczy? Tylko „Noc dwunastą" i „Sen nocy letniej" i „Baśń zimowego wieczoru". Co znaczy jeden obraz mniej lub więcej? Przychodzi na myśl sąd egipski towarzystwa szekspirowskiego, że był wesołym aktorem i przedsiębiorcą. Nie mogę pogodzić tego faktu z jego poezyą. U innych podziwienia godnych ludzi można przeprowadzić pewną analogię między życiem a myślą; lecz tu zupełna sprzeczność. Gdyby był mniejszym, gdyby dosięgnął zwykłej miary wielkich pisarzy Bacona, Miltona, Cervantesa, można by ten fakt pozostawić w zmierzchu ludzkich przeznaczeń — ale że ten największy, ten nad-człowiek, który dał nauce o duszy zupełnie nową, szeroką, dotąd nieistniejącą podstawę i ze sztandarem ludzkości w ręku wdarł się o kawał drogi naprzód w przepaście Chaosu — że on we własnym życiu mądrym być nie potrafił! Musi przejść do historyi świata, że jego największy poeta wiódł życie poziome i pospolite i używał swego geniuszu w służbie publicznych rozrywek.

Tak, inni ludzie, kapłani i prorocy, Izraelici, Germanie i Szwedzi oglądali te same rzeczy i widzieli poprzecz nie, co tam zawarte. I cóż było wynikiem? Piękność rozwiała się przed ich oczyma; czytali przykazania, obowiązek co przygniatał i wszystko wyłączał. Uczucie zależności i smutku upadło jako góra ciężka na ich dusze, i życie stało się marą, posępną, znojną drogą pielgrzyma, doświadczeniem, a w około nich rozsiadły się bolesne opowieści o upadku Adama i klątwie Bożej za nami, o sądzie ostatecznym czyściowym i piekielnych ogniach przed nami. I zatrwożyło się serce wieszcza i serce słuchacza.

Trzeba przyznać, że były to jeno połowiczne wrażenia połowicznych ludzi. Świat ciągle czeka na swego wieszcza-kapłana, rozjemcę i pojednawcę, który nie będzie igrał z Szekspirem komedyantem ani do grobów zstępował z żałobnym Swedenborgiem.

Marya Zielewiczówna.

GŁOSY CZYTELNICZEK.

Jak lepiej?

„Lecz do coraz wyższych kół
iść przez drugich podnoszenie
tak Bóg czyni we wszecświecie
bo cel światów — szlachetnienie".

Z. Krasiński.

Swieżo wydana książka p. Anieli Szycówny p. t. „Kobieta w pedagogice", „Matka" wzbudza niezwykłe zainteresowanie wśród szerokiego ogółu matek polskich, pojmujących całą doniosłość swego zadania i ciążącej na nich odpowiedzialności wobec społeczeństwa, za źle wychowane dzieci.

Wdzięczne jesteśmy wszystkie autorce za tę pracę opartą na silnych podstswach nauki i studyów głębokich, jakim wciąż oddaje się niezmordowana w badaniu kwestyi pedagogicznych p. Szycówna.

Każda też z nas matek pragnie przecież wychować dobrze swoje dzieci, widzieć je pełne przymiotów, słowem, miłe Bogu i ludziom. Jakże jednak ciężkiem jest zadanie matek dzisiejszych wobec tylu piętrzących się przeciwności na drodze ich obowiązków, wobec tych nowych prądów porywających młode pokolenia i buntujących je przeciw „zastarzałym poglądom rodziców". Ileż matek zawiedzionych w swych nadziejach, widzą z smutkiem chybiony cel swych usiłowań, widzą, że wpływ ich na młodociane umysły i serca traci coraz bardziej swe znamię pod naciskiem innych wpływów, bedących niby duchem czasu a odciągających dzieci z pod macierzyńskiego kierunku.

— Dzieci nasze coraz więcej tracą ufność w siłę rozumu rodziców na punkcie kierowania niemi, uważają nas za głupszych od siebie — rzekła z goryczą jedna z matek, podczas dysputy towarzyskiej o wychowaniu dzieci.

Znalazłszy się bowiem w kółku znajomych w Warszawie, zauważyłam brak młodych panien, których matki po większej części same przyszły powinszować solenizantce, gospodyni domu.

— Dlaczego córeczki pani niema tu dziś z nami? — zapytałam siedzącą obok mnie sąsiadkę, matkę sympatycznej dorosłej już panienki.

— Moja córka poszła do swej koleżanki na walną dysputę w gronie rówieśniczek — odparła zagadnięta.

— I moje dziewczęta również tam podążyły, — dodała inna z pań.

— A moja jedynaczka jest na koncercie z swą przyjaciółką, bo teraz córki z matkami na wizyty nie chodzą — odezwała się z przekąsem druga moja sąsiadka — nie chcą nudzić się w towarzystwie starszych! co to im potem?

Przecież bywają bale nawet, urządzane wyłącznie dla młodego żywiołu, bez niepotrzebnego dodatku w postaci matek, ciotek, ojców i t. p. starszej opieki. Minęły już czasy przesądów zapleśniałych, kiedy to dawniej córka dorosła, znajdująca się pod dachem rodziców, kroku prawie bez nich nie zrobiła, podzielając ich domowe zajęcia zarówno jak i rozrywki towarzyskie, zmuszając pod ich opieką na zebrania w domach przwatnych, lub na bale publiczne, teatry, koncerty. Obecnie można powiedzieć że my, matki, sobie a córki nasze sobie, idziemy w poszukiwaniu nowego porządku rzeczy a burzenia starego. Hasło młody h obecnie to: samodzielność, swoboda myśli słowa i czynu. Wszelka, choćby najbardziej doświadczona rada rodzicielska, wszelki choćby najserdeczniejszy wpływ macierzyński, to według nich, krępowanie lotu młodych skrzydeł, skierowanych na wyższe, niedościgłe już dla nas starych szczyty!... To zabijanie niepotrzebnemi formami i formułkami młodego ducha, rwącego się coraz wyżej, w tych subtelnych nastrojach, jakich starsi nie są w stania zrozumieć... Można też nieraz słyszeć jak młode panienki dowodzą: co tam mama wie! mama jest zacofaną idealistką nie z dzisiejszych czasów, a my młodzi, wszyscy zapatrujemy sią na życie racyonalnie, realistycznie, więc nigdy do porozumienia z sobą na tym punkcie nie dojdziemy. My więcej uczymy się od was, dawniejszych kobiet, więcej pracujemy nad sobą i więcej bez kwestyi u-

miemy, tego nam nie zaprzeczycie, to też i dążenia nasze są sersze, niemogące być zamkniętemi w ciasnych tylko ramkach domowego ogniska...

Czy jednak młodzież obecna zastanawia się nad tem, że praca ich jest więcej egoistyczna, mająca na celu głównie swoje „ja“ własną tylko przyszłość, że praca ta chłodzi serce i młodzieńczy ogień, którym nawskroś przejęty wieszcz nasz wołał: „Młodości! ty nad poziomy“...

Gdy spojrzeć teraz na całe zastępy młodych płci obojej, wydaje się to wszystko takie uczone, mądre, a takie trzeźwe i chłodne, takie stare i osowiałe, że mimowoli ciśnie się na myśl pytanie, jak lepiej?

Czy lepiej było dawniej gdy młodzi byli młodymi z młodzieńczym zapałem szli w życie, z ufnością w doświadczenie i rady starszych, a z szacunkiem dla rodzicielskiej powagi? Czy też lepiej dziś, gdy wśród młodych materyalizm i realizm, to najpierwsze hasło, gdy o młodości pełnej uroków i marzeń świetlanych mówi się z lekceważeniem, zdanie zaś starszych uważane jest za niepotrzebny zabytek zapleśniałych pojęć, słowem, gdy dziecko zaledwie z pieluch wyszedłszy, już chce być samodzielne, i imponować rodzicom?

Może i ja jestem zapleśniałą idealistką, ale zdaje mi się, że choć nowe prądy i nowoczesna nauka tworzą nowe ideały, będą one jednak zawsze tych odbiciem, jakie wszyscy w głębi duszy od wieków nosimy.

Niewymownie wdzięczną byłabym temu, ktoby mi odpowiedział na pytanie moje: jak lepiej?

Matka-Polka M. B. S.

Dziecko t. zw. „Enfant terrible“.

Pedagogika obecna żywo zajmuje się nietaktownemi dziećmi, tak zwanemi „enfants terribles“. Biorąc za dewizę, iż dzieci są „rozkoszne“ lub „nieznośne“, autor sądzi zarówno, iż każdy podpisze się chętnie pod sztandarem Jean Paula, iż gdyby człowiek nigdy dziecka nie widział, spotkawszy je po raz pierwszy, napewno miałby złudzenie, iż ujrzał anioła. Naiwność wdzięku dziecinnego a nawet swawola, tylko stetryczałego pedanta razić może, gdy niespodzianie kulką śnieżną dostanie w plecy, lub jeśli go minie z hałasem wózek dziecięcy.

Witamy to nawet z przyjemnością, o ile żart lub swawola, nie przekroczą pewnej granicy, gdyż pamiętać należy, iż śmiałość w pewnych razach równa się nietaktowi, i że w trzyletniem lub czteroletniem dziecku dają się już zauważyć małe złośliwości, które rozwijają się z wiekiem w poważniejsze u dorosłych wady.

Dziecko w sercu swoim, ma nieomylną wskazówkę, co czynić, co mówić powinno, co wypada lub nie wypada; ono może nieraz przekroczyć granicę, czyniąc bez złej myśli, dosadną uwagę, lub wyjawiając nieprzewidziane spostrzeżenie, w chwili gdy starsi prowadzą rozmowę i nie bierzemy im tego zbytnio za złe. Gdy jednak takie przekroczenia powtarzają się częściej, jeżeli przytem z pewną przyjemnością wywoływane bywają i mały winowajca spogląda z dumą jakie wrażenie jego dowcip wywiera, to pożądane jest, aby otrzymał pedagogiczne surowe skarcenie.

Nie widzę nic zabawnego, ani zajmującego w tem, gdy dziecko oglądając ofiarowany mu upominek, mówi: „Taki już mam!“, lub „Takiego nie chcę!“ Znajduję to wstrętnem, jeżeli dziecko wita wuja, ciotkę lub nawet rodziców słowami: „Nic mi nie przyniosłeś?“ Słysząc, jak dzieci, do gościa swojej matki mówią: „Ciociu jaki ty masz brzydki kapelusz!“ lub z błyskiem złośliwości w wyrazie twarzy oświadczają: „Babcia może wyjmować swoje zęby!“, lub uprzejmie oznajmiają: „Mama wcale nie była rada że dzisiaj przyszedłeś!“.

Przy takich objawach szczerości i śmiałości tracę zupełnie mój dobry humor.

Sądzę wraz z Goetem, iż dziecko jest ojcem człowieka, i że z tych małych mężczyzn i kobietek wyrastają ludzie skłonni do negacyi, do krytykowania wszystkiego i wszystkich. Jestem głęboko przekonany, że gdybyśmy mieli sposobność obserwować od lat dziecięcych życie tych „Zoilów“, mielibyśmy możność spostrzedz, iż już w najmłodszym wieku, objawiały się w nich pewne złośliwości, wyrażające się w napozór niewinnych uwagach, które przez dumnych rodziców były przyjmowane z uśmiechem.

Przysłowie „przy stole, jak w kościele“ powinno być w pokoju jadalnym, w wielu familijnych domach złotemi głoskami wypisane. Gdyby tę dewizę można było rozprzestrzenić i na dalsze pokoje, aby dzieci w obecności starszych, szczególniej obcych gości, również zachowywali milczenie, uniknięto by wiele moralnych policzków, które nie mniej palą od fizycznych, chociaż są wymierzone małą, delikatną dłonią dziecięcą. Zwykle szczęśliwy odbiorca, zmuszony jest pokryć zniewagę przymuszonym uśmiechem, aby nie usłyszeć: „Przecież na dziecko gniewać się nie będziesz!“

Ja gniewam się na dzieci, gdy są niegrzeczne i sądzę, iż wielu ludzi podziela moje zdanie. Niejednokrotnie zmuszony byłem silnie zaciskać pięście, aby nie dać folgi chęci udzielenia czynnej przestrogi takiemu „kochaneczkowi“.

Żadna zaleta nie jest tak trudna do wpojenia jak poczucie taktu, ale też żadna równie nie upraszcza drogi życia. Można ją nabyć przez wychowanie, nawet gdy istnieje brak dobrego gruntu w charakterze; starajmy się tylko wpajać dzieciom naszym zasadę: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“.

Charakterystyczną cechą poglądu autorów dzisiejszych jest nacisk, który kładą na wpajanie taktu dzieciom w stosunkach towarzyskich. Czyż nie o wiele szlachetniejszą mieliśmy dewizę w Polsce, którą od najmłodszych lat każde dziecko słyszało: „gość w domu, Bóg w domu“.

Nie wstrętne zachowanie pozorów, które w późniejszym wieku, pokrywają obłudę i najgorsze uczynki, tylko przez rozwinięcie dobroci, słodyczy charakteru, miłości do otoczenia, a z niej wypływającego szacunku dla starszych, dziecko nie będzie przerywać rozmowy, lub czynić Babci niestosownych uwag. Niezaprzeczenie człowiek nie rodzi się białą kartą, bo przynosi z sobą pewne skłonności, a zadaniem rodziców jest rozwijać dobre, a tłumić złe. Nie karą cielesną, która poniża i upór rodzi, lecz rozbudzeniem duszy dziecka, poprawiamy wady.

Nie należy też lekceważyć ogromnego wpływu otoczenia. Serduszko młode, jak gąbką nasiąka smutkiem i goryczą, jeżeli widzi w koło siebie zachmurzone twarze, załzawione oczy i skrzywione usta. Gdy starsi chętnie obmawiają, krytykują, wyszydzają innych, dziecko przyzwyczaja się do tego i stosuje do swoich rówieśników tę samą metodę.

Trzeba zatem aby rodzice poprawiali wpierw siebie, pracowali nad własnem udoskonaleniem, zanim zaczną od dzieci wymagać tych zalet, których nie posiadają sami.

Miłość, miłość rodzicielska, miłość wszechludzka, stwarza cuda, a nawet z krąbrnych dzieci, pożytecznych i dobrych obywateli urobić może.

E—la.

Ze sztuk plastycznych.

Nadeszły wakacye — skończył się rok szkolny, a zarazem zamyka sie sezon wystaw w naszych salonach artystycznych, daje to nam możność rzucenia okiem wstecz i ocenienia tegorocznego ruchu na niwie sztuk plastycznych. Więc przedewszystkiem przyjrzyjmy się, co w tej mierze zrobiła nasza Zachęta Sztuk Pięknych. Hasłem jej w sezonie ubiegłym zdawała się być *kalejdoskopowość*.

Z błyskawiczną szybkością zmieniały się wystawy w naszym Pałacu Sztuki, gonienie za nowością, za ciągłą zmianą było niezaprzeczenie główną troską zarządu tej instytucyi. System ten, mający na celu ciągłe podbudzanie ciekawości wśród szerokich mas publiczności, ma swe zarówno dodatnie jak i ujemne strony. Świadczy on niezaprzeczenie o wielkiej żywotności wystawy, o chęci zaznajamiania mas z coraz nowemi działami sztuki, Ruchliwość jednak ta ma i swe niebezpieczne strony, niezawsze bowiem przy tak szybkich zmianach, jakość dzieł wystawionych odpowiadać może ich ilości; pozatem system ten wpływa też do pewnego stopnia demoralizująco na publiczność, która przyzwycząja się gonić tylko za nowością, za sensacyą dnia, przychodzi do przybytku sztuki jedynie dla pochwalenia się, że daną

wystawę *już widziała*, a nie poszukuje tam bynajmniej głębszych, poważnych wzruszeń estetycznych, któreby zawiązać mogły trwałą nić sympatyczną między twórcą dzieła sztuki a inteligentnym, wrażliwym na piękno widzem.

Trzeba nieraz mieć więcej czasu, aby się zżyć duchowo z jakimś obrazem lub rzeźbą, aby zrozumieć i wyczuć należycie intencye danego artysty.

W szeregu wystaw tegorocznych prym trzymał „Salon“ (IV wystawa doroczna) który potrafił zgromarzić dzieła znacznej ilości artystów-Polaków, zarówno zamieszkałych w kraju jak i zagranicą; dał on też dosyć dokładny obraz ruchu artystycznego na niwie polskiej sztuki. Należy mieć nadzieję, iż w roku przyszłym, ci z pomiędzy artystów naszych, którzy dotąd z różnych przyczyn wstrzymali się od przyjęcia udziału w tym warszawskim „Salonie“ nadal nie będą już odmawiali swego uczestnictwa, co da możność coraz ściślejszego i pełniejszego zgrupowania się naszych plastyków na tej dorocznej wystawie.

Prócz wspomnianego ogólnego popisu naszych sił artystycznych, widzieliśmy też i wystawy poszczególnych grup lub też pojedyńczych artystów; oglądaliśmy ciekawą „Grupę pięciu“ z Wlastimilem Hofmanem na czele; przedstawiło się nam nowe stowarzyszenie, pod szumnem, choć niezbyt usprawiedliwionem nazwiskiem „Odłamu“; z wysoce interesującą, z ram banalności wysuwającą się wystawą wystąpiło krakowskie stowarzyszenie „Polska sztuka stosowana“, widzieliśmy też oddzielne kolekcye prac Melanii Mutermilchowej, Józefa Rapackiego, Władysława Ślewińskiego, Edwarda Wittiga, a obecnie kończy sezon, wystawa prof. Alfreda Wierusza Kowalskiego.

Przewinął się też przez Zachętę szereg wystaw szkolnych; widzieliśmy kolejno prace uczniów Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, uczniów Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej, oraz wychowańców szkół średnich prywatnych polskich.

Z wystaw obcokrajowców zaznaczyć trzeba wystawę prac artystów belgijskich, świadczącą o ich wysokiej kulturze oraz dużo mniej szczęśliwą wystawę artystów słoweńskich, nie dającą bynajmniej dodatniego pojęcia o sztuce naszych pobratymców; w wystawionych pracach nie było żadnych cech oryginalnych, tylko ślepe naśladownictwo impresyonizmu francuzkiego z przed lat dwudziestu.

Po za wspomnianemi wyżej wystawami mieliśmy moc wystaw graficznych, całą powódź, ulewę grafików. Holendrzy, Francuzi, Amerykanie, Niemcy, Anglicy, — kolekcye zbiorowe i poszczególnych artystów — akwaforty, pointe-secher, akwatinty, litografie jednobarwne i kolorowe, przesuwały się przed nami w zastraszającej wprost ilości. Sztuki graficzne są wysoce interesującym działem produkcyi artystycznych, nie należy jednak nadużywać ich i nużyć oko widza ich nadmierną ilością, wśród której z trudnością i zrzadka tylko wyłowić można było prace rzeczywiście wybitne i nacechowane indywidualnością. Ogromna większość była bezbarwna i nużąca, wytwarzająca wprost zamęt i niepozwalająca skupić się uwadze widza na tej części wybitnych prac z omawianego zakresu sztuki.

Zajmowanie zaś stałe w ciągu roku po parę i więcej sal na obcą grafikę robiło dotkliwy uszczerbek wystawie bieżącej i niejednokrotnie dawały się słyszeć protesty artystów naszych, których prace nie mogły znaleźć miejsca na wystawie. A wszakże Towarzystwo Sztuk Pięknych przedewszystkiem interesy polskich a nawet miejscowych artystów powinno mieć na względzie, tak powiedziano jest wyraźnie w ustawie i taki jest przewodni cel tej instytucyi.

Sprowadzanie prac artystów obcych może być dopuszczone tylko wtedy, jeżeli posiadają one bardzo wybitne zalety i służyć mogą jako wzór dla artystów naszych, oraz wpłynąć kształcąco na publiczność; w każdym razie cenzus dla ich poziomu musi być bardzo wysoki, a ilość nieznaczna, nie przynosząca szkody artystom polskim, przez zabieranie słusznie im należnego miejsca w naszym Pałacu Sztuki.

Na zakończenie tego krótkiego przeglądu tegorocznej działalności Zachęty, przeglądu, w którym ograniczyć się trzeba było do zaznaczenia tylko wybitniejszych, a nie wszystkich bynajmniej wystaw, powiedzieć należy słów kilka o obecnej, zamykającej sezon, wystawie prac prof. Wierusza-Kowalskiego.

Jest on, jak powiada Sienkiewicz, „bardzo nasz i bardzo kochany“. Co do wyboru tematów, choć mieszka w Monachium, a maluje przeważnie dla amerykańskich „Kunsthandlerów“. I to jest właśnie jego nieszczęście — tematy te podobają się za morzem, więc je powtarza do nieskończoności, wkładając w nie dużo wirtuozostwa i techniki, a może za mało stosunkowo duszy.

Olbrzymia pamięć wzrokowa artysty pozwala mu komponować w pracowni zdala od kraju zapamiętane dokładnie przeróżne sceny rodzajowe, polowania, jarmarki, przejażdżki konne, a przedewszystkiem epizody myśliwskie z wilkami, które odtwarza z wielką maestryą.

Prof. Wierusz-Kowalski posiada nadzwyczajną łatwość kompozycyjną i sprawność techniczną — obrazy jego mają dużo swobody i prawdy w układzie oraz znaczne zalety rysunkowe. Zadziwiająca płodność artysty pozwala mu na wytwarzanie olbrzymiej ilości prac, które mają wielkie powodzenie na zagranicznych rynkach zbytu. W kraju obrazy jego pojawiają się rzadziej, to też obecna wystawa dała nam możność poznajomienia się z dużą ilością prac nowych, obok których były też i dawniej już widziane utwory pendzla Kowalskiego.

Obecnie widać niejaką zmianę w technice artysty, maluje on szerzej; mniej wykończa, chociaż pewien jemu właściwy rodzaj oświetlenia i kolorytu stale cechuje jego obrazy i nadaje im pewne specyalne piętno.

Z obecnie wystawionych prac prof. Kowalskiego najwybitniejsze są: „Nadchodząca burza“ i „Zawiane ślady“. Znajdujemy tu też sceny z Algieru — wspomnienia z ostatniej podróży artysty.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.

Przegląd teatralny.

(Dokończenie).

Rozpoczęty od 16 maja letni sezon na wielkiej sali Filharmonii dał dotąd cztery już premiery: wdzięczną i dowcipną „Matkę i córkę“ (Miquette et sa mère) pp. de Caillaret i de Flers — efektowną sztukę de Lorde'a i Morela „Pod wulkanem“ — wreszcie „Wujaszka Jasia“ Czechowa i „Ojca“ Strindberga.

Dwa pierwsze utwory pochodzą z repertuaru francuzkiego. W krytyce warszawskiej wdarło się niewiadomo dlaczego pewne uczucie niechęci do dramatycznej twórczości francuzkiej ostatnich lat. Niechęć ta jest dość świeża wprawdzie i dość znamienna po latach całych bezkrytycznego przetrawiania Sardou, Dumasa, Ohneta, Paillerona, Labiche'a, Goudinet'a i Hennequina — ale najzupełniej bezpodstawna. Bo jeżeli sztuki francuzkie Bataille'a lub Bernsteina niepodobają się dziś publiczności naszej, mimo, że w Paryżu robią one setki wyprzedanych przedstawień, to dowodzi to tylko faktu niższości kulturalnej naszych widzów. O tem nie może być dwóch zdań. Nie mogę uwierzyć w kulturalność człowieka który przepłaca codzień kelnerów w „Aquarium“ lub „Corso“ dla zobaczenia nogi jakiejś internacyonalnej szansonistki albo dla wysłuchania niesłychanie zabawnej i „nowej“ piosnki „o rydzu“ — a który nudzi się na sztuce przyzwoicie granej i niegorszej pewno od wszystkich przeciętnych utworów komedyi lub dramatu europejskiego! A jednak tak przecie jest! Widziałem np. w „Corso“ tuż przed rampą „stammtisch“ magnata noszącego historyczne i sławne w literaturze naszej nazwisko, którego nigdy zato w żadnym nie można spotkać teatrze!

Ale to publiczność. Dlaczego krytyka nie lubi repertuaru francuzkiego?

Zdaje mi się, że nasza krytyka dramatyczna cierpi na chorobę przestrzeni. Tylko objawy tego niedomagania w kierunku moralnym inne są i wręcz przeciwne niż w praktyce fizycznej. Zamiast się lękać przestrzeni próżnej, krytyka nasza zdaje się jej pożądać. „Horror racui“ pociąga ją, mąci — — — nie lubi natomiast tłoku. Dlatego nie lubi francuzkiego repertuaru ponieważ tam właśnie tłoku najwięcej. Tylu ludzi tam pisze! i różnica odcieni literackich tak mała dla oczu nie zadających sobie trudu obeznania się z całym tym ruchem — — — znać choć trochę każdego autora, wiedzieć mniej więcej co i kiedy napisał, do jakiej należy szkoły, gdzie grano jego sztukę i kiedy — a poco to wszy-

stko! daleko łatwiej napisać parę frazesów o bezwartościowości całej francuskiej produkcyi dramatycznej i o braku potrzeby zaznajamiania się z nią!

Znam pewnego krytyka który zwykle po pierwszym akcie każdej premiery przymruża oko i mówi z uśmiechem:

— Pomidory, panie, nie sztuka...

I zaraz poczynają nasi ludzie patrzyć z cichym alę wyraźnym szacunkiem.

— Ten się zna!... — szepcą.

„Matka i córka“ i „Pod wulkanem“ grane były i wystawione przez Teatr Mały tak, jak wszystko, co Gawalewicz wystawia — sumiennie, artystycznie, stylowo, zajmująco i efektownie.

Potem na deskach Teatru Małego zjawił się jako gość pan Adwentowicz.

Zagrał najpierw w „Wujaszku Jasiu“ Czechowa rolę doktora Astrowa. Zagrał ją bardzo, zanadto nawet realistycznie. Typ postaci którą odtworzył był konsekwentny ale był niższy w syntezie swej duchowej od typu pomyślanego przez autora sztuki. Miał za duży, za nadto blaskowo-rosyjski rozmach w charakteryzacyi i wyrazie, za mało nastroju i zgorzkniałej tęsknoty melancholii. Dusza Astrowa p. Adwentowicza była zamknięta na trzy spusty pieczęcią jego dojrzałego już światopoglądu i rezygnacyi. Czechow zaś w duszy tej otwarł małe okienko na przeszłość, wstawił weń szybki tęsknoty, kazał się domyśleć cichego żalu za tem innem życiem którego Astrow zdobyć i zbudować sobie nie mógł czy nie chciał. Pozatem talent p. Adwentowicza i jego staranna bardzo technika artystyczna zdobyły sobie wielkie uznanie. Obok artysty lwowskiego zaznaczyły się bardzo wybitnie najlepsze siły Teatru Małego — panie. Duninówna, Helena Pawłowska, Bartoszewska i Stankowska — oraz panowie: Weychert, Orliński i Neubelt.

O siłach tych tem więcej wypada i należy tu wspomnieć że wytrzymują one bez szkody dla siebie zestawienie z gościnnemi na scenie Teatru Małego gwiazdami. Artyści tego teatru, przeważnie młodzi i przyzwyczajeni patrzeć na sztukę dramatyczną jak na coś więcej, niż zwykły środek zarobku i zawód życiowy, od pewnego już czasu dochodzą do tego tonu zgranego ze sobą i pewnego siebie zespołu, który całej scenie surowej dał Gawalewicz, a który jest artystyczną wybitną cechą jego teatru, że tak jest, że talentom, skupionym w gmachu Filharmonii on właśnie umie nadać ten ogień dobrze oszlifowanego i pięknie oprawnego klejnotu dowodzi fakt, że artyści jego trupy przeszedłszy na inną scenę, pozbawieni kierownika i ożywiającego ducha artyzmu stają się materyałem, „umarłemi perłami“. Widziałem takich, słyszałem podziwy ludzi którzy niemogli ich na innej scenie poznać.

Ale najlepsze siły Teatru Małego trzymają się wiecznie swego dyrektora, wyrastając na talenty dużej miary i oryginalnego blasku. Panna Laura Duninówna, pani Helena Pawłowska, Panna Marya Dulębianka, panowie Weychert, Neubelt, Orliński to duża i jasna przyszłość polskiej sceny.

W ostatnim tygodniu dał Gawalewicz Warszawie taką ucztę literacko-artystyczną iż niepodobna wzmianką o niej zamknąć w paru banalnych słowach. Wystawił oto „Ojca“ Strindberga i mając do roli tytułowej rotmistrza w tej sztuce tak idealnego artystę jak p. Adwentowicz nie mógł się oprzeć szlachetnej i podbijającej artystycznej fantazyi sprowadzenia dlań z Krakowa partnerki, która zdobyła w tej właśnie sztuce świeże laury w tem mieście.

„Ojciec“ należy do tego cyklu dramatów Strindberga które napisane zostały dwadzieścia parę lat temu z tendencyą wywołania gorącej rewolucyi w stosunku dwóch płci do siebie. „Wróg kobiet“ Strindberg, wyposażył bohaterki tych swoich czterech agitacyjnych dramatów w demoniczne rysy nie znających litości wampirów, ubrał je w maski ideowego krańcowego tragizmu, kazał im spełniać z zimną krwią i niezachwianym spokojem czyny straszne, których widok ze sceny mrozi krew w żyłach widzów.

Kaftan waryata który Laura każe wdziać swemu mężowi w „Ojcu“ to bezwiedny może symbol wszystkiego tego zła, jakie mężowie doznają od swoich żon w wypadkach poszczególnych, uogólnionych tendencyą i uczuciami Strindberga. Sama postać zbrodniczej ale korzystającej mądrze z pozorów prawa Laury — żony, jest również w dramacie sceną wypadkową i symbolem złych poglądów płci kobiecej wiecznie walczącej według Strindberga z mężką.

Tak pojęli role swe p. Wysocka i p. Adwentowicz. Stworzyli też porywający siłą i ekspressyą! wstrząsający realną prawdą duet. Nie wyobrażam sobie by „Ojca“ można było w tych dwóch rolach grać lepiej. Pani Wysocka stylizowała swoją rolę zużytkowując dla niej doskonale wyraz swych pierwszorzędnych warunków scenicznych — p. Adwentowicz z drobiazgową konsekwencyą opracował typ człowieka dochodzącego niemal do szaleństwa z bólu, cierpiącego nieludzko, ale zdrowego na umyśle jeszcze nawet w tej chwili kiedy podstępnie ubrano go w kaftan szaleństwa. Wszystkie psychologiczne motywy walki z żoną i stanu rozdrażnienia swego, leżące poza ramami dramatu, i dające się tylko przeczuwać artystyczną intuicyą lub znajomością psychologii ludzkiej — wszystko to co mogło w oczach widza usprawiedliwić akcyę i napięcie konfliktu — p. Adwantowicz zebrał, opracował, spiętrzył w sobie i pokazał na scenie. To znaczy więcej niż grać — to znaczy odczuć i pojąć rolę z punktu sztuki i z punktu prawdy. Grał zresztą p. Adwentowicz przepięknie, porywając za każdym występem salę i dowodząc świetnie, że jest dużej miary artystą.

Kiedy wychodziłem z teatru po przedstawieniu „Wujaszka Jasia“ i potem znów „Ojca“ — kiedy w ciszy nocnych refleksyi i wspomnień rozmyślałem o tej scenie i artystach, którzy mogą Warszawie takich wrażeń artystycznych dostarczać, znów przyszedł mi na myśl kierownik tego teatru.

W załamku kulis, w cieniu portyer scenicznych, dojrzałem wysokie, pod siwym już włosem czoło Petroniusza, błyszczące oko i uśmiech okrążający wykwintne wargi estety— stał zapatrzony na swoją scenę, zasłuchany w ognisty brzęk padających tam jak błyskawice słów i okrzyków i nic go nie obchodziły huragany oklasków rozszalałe nad widownią przy spuszczaniu kurtyny...

— To dla nich, tam na scenie — zdawały się mówić jego oczy — mnie sama sztuka, nawet bez uznania, wystarcza... *Czekan.*

Tablica pamiątkowa ku czci ś. p. Władysława Krajewskiego.



W pawilonie, należącym do szpitala Dzieciątka Jezus — w którym ś. p. doktór Władysław Krajewski, pracował tak niezmordowanie, niosąc ulgę, życie i zdrowie cierpiącym, ku chwale i pożytkowi nauki podnosząc umiłowany a szczytny zawód do wysokości ideału, w pawilionie szpitalnym, w którym zacny człowiek, chirurg — uczony wielkiej miary, znaczną część życia spędzał, odsłoniętą została ku jego czci tablica pamiątkowa w kształcie dużej płaskorzeźby.

Tablica wmurowana w ścianę długiego korytarza u wejścia, odlana z bronzu, wykonana została przez znanego artystę rzeźbiarza Jana Woydygę. Artysta znakomicie uchwycił scenę jaka wielokrotnie zdarzać się musiała w szpitalu, gdzie wszyscy znali ś. p. Krajewskiego nietylko z nauki jego i cudownie leczącej ręki, lecz i z serca pełnego dobroci i miłosierdzia.

Napis: „Władysławowi Krajewskiemu — uczniowie“, świadczy wymownie jaką pamięć pozostawił wśród swoich uczniów — kolegów.

s.

Wystawa ziemi Dobrzyńskiej.

Ciche zazwyczaj miasteczko Lipno, rozbrzmiewało w zeszłym tygodniu przez 5 dni wielkim gwarem.

Wystawa przemysłowo-rolnicza urządzona staraniem okręgowego Towarzystwa Rolniczego ściągnęła liczne tłumy z dalszych i bliższych stron.

Zwłaszcza wystawa ta pociągnęła ziemiańskie sfery. Ludzie z tej klasy przybyli do Lipna hucznie i szumno, strojnie i butnie, niby na dawne staropolskie zapusty. Można było podziwiać świetnie sprzegnięte czwórki, pyszne uprzęże, powozy, karety i piękne twarzyczki kobiet strojnych, wytwornych, o twarzach tak pogodnych, tak dziwnie niefrasobliwych, że zdawać by się mogło, iż myśl poważna nigdy nie zagościła na gładkiem ich czole a troska o powszechne dobro nie zamroczyła nigdy wzroku. Nic dziwnego, że te piękne Dobrzynianki pomyślały o tem, aby sobie na wystawie w Lipnie zapewnić efektowne tło, na którem ich wdzięki, wytworne toalety (niektóre podobno prosto z Paryża), oraz przymioty towarzyskie, mogłyby zabłysnąć w całej pełni. Ten cel osiągnęły. Pawilonik komitetowych pań, był podobny do groty nimf umajonej kwieciem i roślinami, całą posadzkę tworzył kwietnik, ułożony z różnobarwnych róż. Symbol był przejrzysty aż nadto. Zdawał się mówić: „Jesteśmy podobne do kwiatów, chcemy życie przejść po różach".

A że tam był kiedyś wieszcz, który mówił „nie czas myśleć o różach, kiedy płoną lasy". to nic a nic tych pięknych, subtelnie salonowych pań nie obchodzi.

Są przecież rozmaite dziwaczki, działaczki społeczne, zwolenniczki równouprawnienia czy jak je tam nazwać, aby o tem myślały. To nie dla nas, życie jest takie piękne, róże raz tylko kwitną, młodość ma swoje prawa, młoda krew takim warem przelewa się w żyłach, jego oczy tak słodko patrzą a usta tyle obiecują... po co myśleć...

No i myśli kobiet dobrzyńskich trudno było znaleźć na wystawie w Lipnie. Brzydka część rodu ludzkiego tej ziemi, dała nam przynajmniej na tej wystawie poglądowy obraz produkcyi wielkiej własności. Dała nam ciekawy dział muzealno-archeologiczny, wreszcie po europejsku wprost urządzony, dział statystyczny. I za to komitetowi męzkiemu należy się słowo uznania. Ale kobietom ziemi dobrzyńskiej, niema zupełnie za co wyrażać tego uznania. One nam nic nie dały, one, prócz smakołyków spiżarnianych, prócz salonawych robótek i arcy ubogiego działu ochroniarskiego (4 ochrona) nie pokazały nam na tej wystawie nic. I gdybyśmy z tej wystawy mieli sądzić o poziomie uspołecznienia ziemianek ziemi dobrzyńskiej, sąd nasz o kobietach z tych okolic musiałby wypaść b. pesymistycznie. Ale od wydania takiego sądu wstrzymuje mnie jedno, oto wystawa w Lipnie miała cechy wybitnie arystokratyczne. Urządzała ją garstka ludzi, nie ożywiona duchem czasu i ci ludzie pozostawili na stronie żywioły postępowe, bardziej uspołecznione. Z tąd poszła jednostronność wystawy, która była wybitnie *pańską* podczas, gdy zadaniem jej było przecież, dać obraz nietylko wytwórczości wielkiej własności rolnej, ale i drobnej włościańskiej, która w tych stronach jest procentowo dość wysoką bo liczy 46% ogólnej własności rolnej. Tego nie uczyniono. Dano nam obraz jednostronny produkcyi wielkiej własności, dano nam imponujący dział maszyn i świetnie z benedyktyńską pracowitością zebrane mapy statystyczne i graficzne, które nas pouczyły w jakich warunkach ekonomiczno-kulturalno-oświatowo-narodowościowych upływa życie mieszkańców tej ziemi.

To wszystko zrobili mężczyźni, a kobiety? ich współtowarzyszki w pracy co nam dały? Pokaz tualet, rodzinnych klejnotów, kwiaty wyhodowane przez ogrodników i robotników, kokieteryjne torty przez kucharzy pracowicie wyrobione. Oto wszystko.

Darujcie piękne panie, ale na dzisiejsze czasy to trochę zamało, aby można o was powiedzieć, że żyjecie.

A teraz uwaga wiele mówiąca. Na obszarze ziemi lipnowskiej niema dotąd ani jednego Kółka Ziemianek, ani jednej kobiecej organizacyi, która by budziła ducha inicyatywy i skupiala lotny żywioł kobiecy pod sztandarem pracy u podstaw o lepsze jutro. A tej pracy u podstaw, jest w ziemi dobrzyńskiej moc wielka. Cała ta ziemia, to pod tym względem jeden ugór. Najwymowniej mówi o tem statystyka, która wykazuje, że ziemia dobrzyńska przeciętnie liczy 68% analfabetów, a ma i takie parafie w których oświata wśród ludu naszego stoi tak: Polacy-katolicy analfabetów 89%, Niemcy — 7%, Żydzi — 0%.

Czytelnictwo stoi na takim poziomie, że mieszkańcy jednej z oświeceńszych gmin (Szpetol) prenumerują aż 57 gazet.

Wobec tak strasznej ciemnoty ludzi dziwić się należy wprost dworom ziemi dobrzyńskiej, że ilość ochron i szkół zakładanych przez nie jest tak mikroskopijnie mała. Wobec tego, że i wspominać o niej nie warto, dziwić się należy pogodzie bijącej z oczu kobiet-ziemianek i tej bucie szlachecko-feudalnej tryskającej z słów ich mężów.

Ale trzeba mieć nadzieję, że już następna wystawa w Lipnie takim lekkomyślnie wesołym nastrojem nie będzie się odznaczała. Myśl ludzka już dzisiaj drzemać wiekami nie może nawet w najbardziej odsuniętych od świata i życia partykularzach. Miejmy nadzieję, że myśl zbudzona z drzemki zwróci się do czynu do krzesania światła w ciemności, do budzenia ruchu stowarzyszeniowego i społeczno-kulturalnego.

Ziemianie lipnowscy z okazyi wystawy usłyszeli o sobie sporo prawd niemiłych, jeśli są materyałem na ludzi czasów nowych, to z uwag krytycznych, dyktowanych przez ducha obywatelskiego, potrafią skorzystać i pójdą ławą łącznie z ludem zdobywać lepszą dla całego narodu dolę.

St. Poraj.

Kronika działalności kobiecej.

Dania. Przyjęte zostało 64 głosami przeciw 35 powszechne prawo wyborcze do wszystkich komunalnych korporacyi dla płacących podatki, osób 25-letnich bez różnicy płci. — Kobiety, po raz pierwszy miały sposobność korzystać z prawa głosowania w wyborach do kas pożyczkowych w całym kraju. Wszystkie polityczne partye ubiegały się o ich względy, zamieszczając na listach swych nazwiska kandydatek. Udział kobiet w głosowaniu był nierównomierny: bardzo liczny w miastach, nie wielki na prowincyi; jednak pomimo swej mniejszości w wiejskich okręgach wyborczych niejednokrotnie zwyciężały kobiety. W Kopenhadze, z kilku postawionych kandydatek, przeszła jedna, z bloku radykalnej iewicy. Wybory były proporcyonalne, z skrutynium.

— Dola nieślubnych dzieci w Danii znakomicie się polepszy, jeśli zatwierdzonym zostanie projekt nowego prawa. Polega ono między innemi na zrównaniu praw spadkowych dzieci nieślubnych z ślubnemi, a także na przelaniu na gminę obowiązków ojca będącego w niemożności płacenia alimentów dzieciom czy nieślubnym, czy opuszczonym slubnym.

— W Konkursie na figurę jeźdźca, na pomnik Króla Chrystyana IX, otrzymała nagrodę rzeźbiarka Marya Nielsen.

Szwecya. Związek kobiet (Union femministe) który w roku bieżącym zwoływał międzynarodowy Kongres kobecy w Medyolanie, zaprosił na przewodniczącą znaną myślicielkę Ellen Key.

— Związek nauczycielek ludowych założył pod Sztokholmem małą tymczasową ochronkę, w której dziewczęta kończące szkołę, bezpłatnie uczą się robót, niezbędnych w gospodarstwie domowem. Przykład godzien naśladownictwa.

Hollandya. Podług „Niderlandzkiego rocznika kobiecego" z 383 studentek 62 uczęszcza na wydział filologiczny, 128 na przyrodniczy, 111 na medyczny, 41 na prawniczy, 37 na techniczny i 4 na teologiczny. Czynnych obecnie w zawodach naukowych jest 4 adwokatek, 23 doktorek, 17 dentystek, 29 aptekarek, 5 inspektorek rzemiosł.

Anglia. W ostatnich demonstracyjnych wiecach sufrażystek wzięło udział około 10000 osób. Ukazanie się prezydentki p. Paukhurst, świeżo wypuszczonej z więzienia, wznieciło niezmierny entuzjazm, który objawił się przedewszystkiem w ofiarach odficie składanych na cele związku. Przez jeden wieczór zebrano poważną sumę 7651 funtów (przeszło 70 tysięcy rubli).

Austrya. W powszechnym wiedeńskim domu zdrowia (Allgemeine Kraukeuhaus) druga kobieta objęła urząd doktora asystenta. Jest nią p. Bianka Bienenfeld. Zarząd tegoż domu zdrowia ogłasza, że do Instytutu pielęgniarek, obecnie jeszcze prowizorycznego, lecz mającego się rozwinąć w przyszłości, przyjmie znaczniejszą liczbę uczennic. Zachęcając kobiety, by obierały sobie zawód ten popłatny i poważany, dodaje, że pożądanym jest wyższy stopień wykształcenia szkolnego kandydstek, a dla nieposiadających go, w celu uzupełnienia braków, urządzone będą w Instytucie systematyczne wykłady. Uczennice szkoły handlowej mogą znaleźć zajęcie związane z ich fachem, a przy odpowiedniem uzdolnieniu, w krótkim czasie zostać nadzorczyniami pielęgniarek.

Francya. Na mocy postanowienia ministeryalnego, kobiety mogą być powoływane do zarządu bibliotek i muzeów na tych samych warunkach, co mężczyźni.

Gabr. R.

Chwila bieżąca.

— Dnia 30 czerwca zapadł wyrok na M. Siczyńskiego, zabójcę namiestnika, hr. Potockiego, skazujący Siczyńskiego na śmierć. Obrońca zgłosił zażalenie nieważności. Niektóre organy przypuszczają, iż Siczyński ułaskawiony zostanie.

— Dnia 29 czerwca w Cieszynie podczas wycieczki polskiego towarzystwa katolickiej młodzieży, Niemcy pod wpływem agitacyi dopuścili się wykroczeń i gwałtów przeciw Polakom. 15 osób zostało kamieniami lub kijami poranionych. Ani policya cieszyńska, ani władze polityczne nie zrobiły nic, aby uchronić ludność polską. W sprawie tej ma być wniesiona w Izbie interpelacya, która wykaże też, że uczniowie niemieccy od lat 11-tu we wszystkich demonstracyach biorą udział, noszą oznaki niemiecko-narodowe, wyszydzali ludność polską d. 28 czerwca, obrzucali ją zgniłemi jajami. Interpelacya żąda użycia wszelkich środków, aby ustała wśród niemieckich uczniów w Cieszynie agitacya przeciw spokojnej ludności polskiej.

— Na morzu Baltyckim, odbywa się demonstracya olbrzymiej floty wojennej angielskiej. Według gazety „Daly Mail“ Anglia rozporządza siłą morską podczas ćwiczeń pod Esbjerg, większą o dziesięć razy od eskadry Stanów Zjednoczonych. Obecnie znajduje się na wodach duńskich 161 okrętów angielskich w tej liczbie: 28 pancerników bojowych, 20 opancerzonych krążowników, 22 krążowniki II klasy, 8 okrętów do służby wywiadowczej, 8 wielkich okrętów torpedowych, 115 kontrtorpedowców, 30 torpedowców, 30 łodzi podwodnych. Pomiędzy pancernikami znajduje się największy okręt wojenny świata „Dreanougth“ który niemal sam jeden mógłby zatopić eskadrę niewielką i nadzwyczaj lotny krążownik „Agamemnon“ niedawno wykończony. Ćwiczenia odbywają się w pobliżu granicy duńsko-niemieckiej i trwać będą około trzech tygodni.

— Na zjazd słowiański w Pradze czeskiej udadzą się delegaci w Galicyi i państwa rosyjskiego. Z Królestwa udadzą się pp.: Roman Dmowski, Harusewicz, Balicki, Stecki (narodowi demokraci), dalej: L. Straszewicz i hr. Henryk Potocki (realiści). Niewiadomo jeszcze kto się uda z partyi zjednoczenia postępowego. Ogółem dziesięciu z państwa rosyjskiego, pięciu z Galicyi. Polacy z pod zaboru pruskiego udziału w zjeździe nie wezmą.

— W Londynie 10000 sufrażystek urządziło ponownie olbrzymią demonstracyę przed gmachem parlamentu angielskiego. Przeszło tysiąc usiłowało wtargnąć do parlamentu dla zobaczenia się z prezesem ministrów Asquithem. Prezes odmówił widzenia się. Policya rozproszyła demonstrantki przemocą, aresztowano 68 kobiet.

— W gubernii piotrkowskiej kurator okręgu naukowego warszawskiego polecił zamknąć 17 szkół prywatnych polskich, a mianowicie: w Częstochowie dwie szkoły 8-klasowe męzkie i trzy szkoły 7-klasowe żeńskie; w Piotrkowie szkołę 8-klasową męzką i 7-klasową żeńską; w Zawierciu szkołę 4-klasową; w Sosnowcu 2-klasową. W okręgu Zagłębia Dąbrowieckiego 7 szkół jedno i dwu klasowych. Nowa klęska dla nas w chwili ukończenia roku szkolnego.

— Pracowity popularyzator wiedzy, zwłaszcza podczas Kursów Naukowych w Uniwersytecie dla wszystkich, literat i działacz społeczny, Ludwik Krzywicki, obchodził 25-letni jubileusz pracy naukowej.

— D-r Julian Kosiński święcił jubileusz 50-letni zaszczytnej pracy lekarskiej i profesorskiej. Obchód jubileuszowy urządziło Towarzystwo lekarskie przy udziale 200 członków. Jubilat złożył 2000 rb. na pracownię lekarską przy Towarzystwie lekarskiem, jako na instytucyę potrzebującą szybkiej pomocy.

Z literatury.

— W zbiorze „Książki dla wszystkich“, wydawanym nakładem M. Arcta, ukazał się przedruk nowy „Zemsty“ Fredry, oraz poematu Seweryna Goszczyńskiego „Król zamczyska“. Tekst „Zemsty“ wydany starannie, a na końcu dodano słowniczek objaśniający mniej znane ogółowi czytelników wyrazy. Niektóre objaśnienia wartoby uzupełnić. Na wstępie do „Króla zamczyska“ umieszczono krótki życiorys poety.

Treść numeru:

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 18-ty tomu I powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

OD ADMINISTRACYI.

Administracya nasza nabywa „Bluszcz“ N-r 14, 19 i 20, płacąc po 25 kop. za egzemplarz.

OGŁOSZENIA.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.** Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.